

Kategoria 13 - 15 lat

I miejsce:

Inka Malek

Gwiezdny Dzwonek

Dawno, dawno temu, na malowniczych terenach Kaszub, w małej wiosce otoczonej lasami i jeziorami, żyła dziewczynka o imieniu Baresza. Była córką rybaka, który codziennie wypływał na ogromne jezioro, by zarabiać na chleb. Baresza uwielbiała słuchać opowieści starej babci Bronki, która znała wszystkie legendy Kaszub. Jedna z historii szczególnie zapadła Bareszce w sercu - o Gwiezdnym Dzwonku ukrytym w kaszubskiej róży. Według legendy Gwiezdny Dzwonek był darem z nieba, który brzmiał tak pięknie, że jego dźwięk przynosił szczęście i spokój każdemu, kto go usłyszał. Ukryty był jednak w magicznej róży, która rosła w okolicy nazywanej Wieżycą. Mówiono, że kto znajdzie Gwiezdny Dzwonek, zdobędzie klucz do spełnienia swoich najskrytszych marzeń. Baresza miała jedno wielkie marzenie - chciała, by jej ojciec nie musiał już męczyć się na jeziorze i łowić ryb, a ich rodzina mogła żyć spokojnie.

Pewnego wieczoru, gdy Baresza siedziała na progu chaty i patrzyła na gwieździste niebo, podjęła decyzję o zdobyciu Gwiezdnego Dzwonka. Rankiem ubrała się w swój skromny strój codzienny, ale spakowała do torby coś wyjątkowego - tradycyjny kaszubski strój, który miał jej przynieść szczęście podczas wyprawy. Strój ten był prezentem od babci, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Składał się z białej haftowanej koszuli z bogatymi wzorami kaszubskimi, symbolizującymi jeziora i piaski Kaszub, czarnego gorsetu, którego kolor oznaczał kaszubskie ziemie, długiej spódnicy w głębokim granatowym kolorze, który przypominał o pięknych kaszubskich jeziorach oraz białej zapaski, również ozdobionej haftem. Baresza nie

zapomniała także o jedzeniu. Babcia zapakowała jej do plecaka młodzowi kuch oraz zawiesiła na szyi bursztynowy amulet. Była to pamiątka po jej zmarłej mamie. Babcia Bronka błogosławiła Bareszkę na drogę, ostrzegając, że legenda mówi o trzech próbach, które musi przejść każdy, kto chce zdobyć Gwiazdny Dzwonek.

W drodze na Wieżycę Baresza spotkała starą kobietę, która zbierała zioła. Staruszka poprosiła o kawałek kucha. Dziewczynka, choć sama miała niewiele, podzieliła się jedzeniem. Staruszka, uśmiechając się tajemniczo, dała jej w zamian złoty kwiat paproci, mówiąc: „To ci pomoże, gdy nadejdzie czas próby”.

Gdy Baresza dotarła na Wieżycę, zapadła już noc, a księżyc oświecał drogę. Pierwsza próba pojawiła się, gdy dziewczynka weszła do ciemnego lasu. Tam spotkała srebrzystego wilka, który powiedział:

- Jeśli chcesz przejść, musisz odpowiedzieć na pytanie: Jakie jest największe bogactwo Kaszub?

Baresza bez wahania odpowiedziała:

- Ludzie, którzy strzegą i przekazują z pokolenia na pokolenie kulturę i tradycje kaszubskie.

Wilk skinął głową i zniknął w ciemności.

Druga próba czekała u stop wzgórza. Tam znajdowało się jezioro, które miało nietypową powierzchnię - wyglądało jak lustro.

Głos dobywający się z głębin powiedział:

- Przejdź na drugą stronę, ale nie dotknij wody, jeśli chcesz pozostać czystego serca.

Baresza przypomniała sobie o złotym kwiecie paproci. Położyła go na wodzie, a ten zamienił się w most, po którym bezpiecznie przeszła.

Na szczycie wzgórza pojawiła się trzecia próba. Przed Bareszką stała piękna kaszubska róża, ale otoczona kolcami.

Głos z nieba powiedział:

- Aby zdobyć Gwiazdny Dzwonek, musisz oddać to, co najcenniejsze.

Baresza zawahała się, ale w końcu zdjęła z szyi bursztynowy amulet - pamiątkę po matce - i położyła go u stop róży. W tej chwili kwiat rozkwitł, a z jego wnętrza rozległ się dźwięk Gwiazdnego Dzwonka. Melodia rozbrzmiewała po całych Kaszubach, przynosząc spokój i szczęście. Baresza wróciła do wioski, gdzie ojciec opowiedział jej, że tego ranka złowił więcej ryb niż w całym swoim życiu i nie będzie już musiał ciężko pracować.

Kaszubska róża zakwitła na Wieżycy, przypominając wszystkim o mocy odwagi i dobroci. Od tamtej pory co roku na Kaszubach organizowano święto na cześć Gwiazdnego Dzwonka, a legenda o Bareszce była opowiadana wszystkim dzieciom, by pamiętały, że marzenia się spełniają, gdy w sercu panuje miłość i odwaga.

II miejsce:

Liliana Czech

Skąd się bierze wiatr nad morzem, czyli o smoku, który chciał się czegoś nauczyć.

Często, kiedy jedziemy nad nasze polskie morze, na plażę, aby się pokąpać i poopalać, to strasznie wieje. Nawet jeśli 13 kilometrów dalej ładnie świeci słońce, a powietrze jest nieruchome. Ma to swoją zaletę; w województwie pomorskim rozwinął się surfing, windsurfing i kitesurfing. Ale staje to czasem okropnie irytujące. Na przykład, gdy porywa kapelusz z głowy, chroniący przed słońcem albo gdy, budując z piasku, ten suchy zawiewa prosto w oczy.

Zastanawiałam się jakiś czas temu, dlaczego u nas nad Bałtykiem zawsze jest taki wiatr.

Nagłowiłam się mocno, dyskutowałam o tym z rodziną i wymyślaliśmy najróżniejsze teorie, zupełnie bezsensownie. Ponieważ okazało się, że odpowiedź jest tuż obok.

W pewien wrześniowy dzień zaraz po zakończeniu sierpnia, z rodzicami, siostrami i psem byliśmy na opustoszałej plaży. Chociaż... nie była wcale taka opustoszała. Zachmurzone niebo nad wzburzoną wodą roiło się od kolorowych płacht kitesurferów. Było wyjątkowo wietrznie, czyli dla surferów, których deski napędza ten żywioł, niemal rajska pogoda.

Rozłożyliśmy się pod ścianą drewnianego magazynu surfingowego, chowając się przed dmącym szkwałem i od razu pobiegliśmy do lodowatej wody. Kiedy się bawiliśmy i oglądaliśmy wyczyny sportowców, równocześnie uważając, żeby nie znaleźć się na linii ich skoków, nagle usłyszałam szamotaninę. Obróciłam się i zobaczyłam,

jak latawiec jednego z surferów poplątany upada do morza, a deska wraz z mężczyzną przewraca się. Nagle też mocny wicher gwałtownie ustał, co zdziwiło wszystkich, ponieważ ich płachty opadły, a deski się zatrzymały. Surfer pospiesznie wygramolił się na brzeg, ciągnąc za sobą sprzęt z wyraźnym trudem. Inni także wrócili na piasek i pomogli koledze.

Z zaciekawieniem po cichu podeszłam z siostrą Darią do miejsca zdarzenia. Coś uczepiło się płachty, a ja chciałam zobaczyć co.

- Uhh... Jakiś ptak zaplątał się w latawiec...Mmmhh... - wystękał mężczyzna ciągnąc liny.

- Najprawdopodobniej kormoran. Jaki inny mógłby zrzucić cię z deski? - odparł inny.

- Nie ciągnijcie tego, bo urwiecie! Pójdę z Piotrkiem wyciągnąć! - zawołał jeszcze inny, który dopiero uwolnił się od swojego sprzętu, po czym przywołał kolegę i wszedł do wody. Pozostali czekali na brzegu, a z nimi ja z siostrą. W końcu w trójkę z kolejnym surferem unieśli n z fal szamoczące się w poplątanej płachcie zwierzę. Gdy rozwinęli materiał, wśród zgromadzonych rozbrzmiało zaskoczone westchnięcie.

- To smok! - zawołała moja siostra, zanim zdążyła się pohamować.

Mężczyźni zwrócili na nas wzrok, gdy nas zauważyli, po czym wrócili do rozplątywania płachty.

W fałdach materiału rzeczywiście zaplątało się stworzenie podobne do smoka. Dwumetrowy jaszczur miał niebieskie łuski i biały brzuch. Z głowy wyrastała mu para rogów. U grzbietu sterczały mocne skórzaste skrzydła. Obserwował nas uważnie z groźnym wyrazem małego pyszczka.

- Nie myślałem, że kiedyś cię spotkam, mała bestio - mruknął właściciel latawca, podczas gdy inni zaniemówili z wrażenia. Smok prychnął w odpowiedzi.

- On jest prawdziwy? - zapytała Daria.

Spojrzał na nią z uprzejmym uśmiechem.

- Jasne, że tak, możesz go nawet pogłaskać. Nie bój się, nic ci nie zrobi, jest miłym smokiem - odpowiedział.

Pozostali spojrzeli na niego zdziwieni.

- Czemu mówisz tak, jakbyś już go kiedyś poznał? - spytał jeden oskarżycielsko. Zachęcona Daria wyciągnęła nieśmiało rękę w stronę zwierzęcia.

- Nie ja, a mój prapra...dziadek - odrzekł mu mężczyzna.

- Nie dotykaj mnie, nie jestem psem! - krzyknął nagle smok, szumiącym głosem. Z zaskoczenia aż podskoczyłam, a Daria odsunęła się gwałtownie.

- A, tak, zapomniałem, że umie mówić. Ha ha ha!

- To, że przyglądają nam się dzieci, nie oznacza, że od razu musisz opowiadać im bajeczkę - burknął sportowiec, który zadał pytanie.

- Jesteśmy w trakcie surfowania - Jego kolega spojrzał na niego wymownie.

- To nie bajka, a prawdziwa historia. W końcu ten maluch jest teraz tuż przed nami. A ja wciąż mam rodzinną pamiątkę po dziadku, który poszedł wraz z przyjaciółmi go poskromić. Czego i tak nie zrobili, bo okazało się, że nie ma ku temu powodów - odparł.

Przysłuchując się tej rozmowie, zapragnęłam posłuchać opowieści surfera. Sądząc po minie siostry, ona również była ciekawa. Jednak, kiedy miałam już zapytać, czy ją nam opowie, podeszli do nas nasi rodzice i druga siostra z psem i powiedzieli, że wracamy. Spojrzałam na nich z cichą prośbą:

- Poczekajcie... - i przeniosłam wzrok na mężczyznę. - Chcę posłuchać - poprosiłam.

Sportowiec uśmiechnął się do nas.

- A co tu się właściwie dzieje...? - chciał wiedzieć tata. A gdy zobaczył smoka, zamilkł.

- Jestem Stanisław. Pozwoli pan, żebym opowiedział dzieciom jedną historię? - spytał uprzejmie mężczyzna. Tata wciąż wpatrując się w jaszczura, tylko skinął głową. Pan Stanisław uśmiechnął się do nas i zaczął opowiadać, kontynuując rozplątywanie płachty owiniętej wokół stwora. Jego naburmuszony kolega usiadł zdenerwowany na piasku, a inni zostali, by też posłuchać. W końcu i tak nie mieli wyboru, gdyż nie było jak się bawić dalej bez wiatru.

- "No więc, było to dawno, dawno temu, bo w czasach średniowieczna, kiedy stolicą Polski był Kraków, a na tronie zasiadał król Krak, rok po pokonaniu Smoka Wawelskiego przez szewczyka Dratewkę, i jego ślubie z królewną. Rozstrzygnięcie wojny z tym potworem nie było niestety końcem niespokojnych dni w naszym kraju. Bowiem zaraz potem na pomorzu, w tym rejonie pojawiło się kolejne zagrożenie.

Wcześniej zawsze słoneczne i ciepłe dni zmieniły się. Nadszedł chłodny wiatr. Z każdym dniem wiał coraz mocniej, przeszkadzając mieszkańcom w codziennych czynnościach. Jeszcze mocniej. Zaczął zrywać drzewa i robić małe burze piaskowe na plaży. Na morzu utrudniał rybakom połowy, zrzucał statki na klify i skały, zatapiał je. W końcu zwiewał już nawet chaty i budynki.

A potem wszystko się uspokoiło. Wicher ustał tak nagle jak się pojawił. Było kilka spokojnych dni, ludzie zdążyli odbudować swoje domy. I wszystko znowu powróciło. Tylko, że tym razem wiatr wiał łagodniej, delikatniej. Jakby sam żywioł starał się nic nie niszczyć. No, ale nie wyszło mu to. Drzewa znowu zaczęły się przewracać, wiele budynków i osób ucierpiało.

Było tak kilka razy. Wiatr to ustawał, to znów się pojawiał. Aż mieszkańcy pomorza zaczęli się zastanawiać jaka jest tego przyczyna. Wyszukiwano w kraju najlepiej wykształconych uczonych i wysyłano grupy badaczy zjawisk astronomicznych i meteorologicznych na poszukiwania odpowiedzi.

Niestety większość takich zespołów bała zbliżać się do serca wichur i trąb. W związku z czym nikt nic nie znajdował. Kiedy wszyscy mieszkańcy tracili nadzieję, wreszcie ktoś dostrzegł, skąd pochodzi zagrożenie. Okazało się, że wichury powoduje smok, który niedawno osiedlił się w tym regionie.

Jednak przez tą wiadomość ludzie zaczęli się bać jeszcze bardziej. Dlatego lord Levin, w tamtych czasach pomorski lennik mieszkający na terenach obecnego Lęborka, potomek Wielkiego Levina, poskramiacza pradawnego lwopodobnego potwora, od którego wzięło się nazwisko dawcy nazwy tego miasta, chcąc pójść w ślady przodka zebrał armię przybocznych, sporządził sprzęt i wyruszył szukać bestii.

Szukał i szukał. Mieszkańcy żyli w strachu. Jego rodzina się martwiła. A on szukał. I szukał.

Nie było go już miesiąc. Żona po cichu przelewała łzy. Córki z utęsknieniem stawały w oknach i balkonach i wyczekiwały jego powrotu. I wrócił. Wnuk znanego bohatera... nie znalazł żadnego smoka!

- Zniknął jak makiem zasiał. - opowiadał. - Jakoby go nigdy tu nie było.

Mieszkańcy województwa w końcu przepełnieni byli strachem i zaczęli wyjeżdżać gdzieś dalej stąd. Mimo, że bardzo chcieli tu zostać. Lord Levin zastanawiał się, co można poradzić, aby nie stracić poddanych, którzy uciekali w pośpiechu. Ale nie znalazł rozwiązania. W jego głowie tliła się tylko jedna cienka, niestabilna myśl. "Raczej nie wypali" - myślał. Więc ją odrzucił.

Pewnego dnia wszyscy pozostali mieszkańcy zebrali się pod zamkiem, żeby wymeldować się z powiatu lęborskiego. Bezradny lord stał na balkonie jednego ze swoich pokoi i tylko patrzył. Był smutny, bo jego lud Kaszubów go opuszczał. Obok niego stała żona, pani Levin, i obejmując go ramieniem, starała się wspierać swojego męża. W dole tłum ludzi czekał pod wrotami.

Lord nie mogąc już na to patrzeć, przywołał sługę i wydał rozkaz zabicia w dzwony kościelne.

Tłum zwrócił wzrok w stronę kościoła, zadziwiony pytając stojących obok osób i zastanawiając się dlaczego dzwonią. Kiedy wybrzmiały i zamilkły, lord wychylił się z balkonu i krzyknął zrozpaczonym głosem:

- Czy naprawdę wszyscy już stracili odwagę?! Czy nie ma tu choć jednej osoby, która jeszcze się trzyma?! Czy znajdę kogoś, kto pójdzie i odnajdzie smoka?! Czy ktoś jeszcze ma odwagę, żeby go poskromić?!

Wśród zgromadzonych wybuchło zamieszanie. Obywatele szeptali między sobą, kulili się, żeby nie zostać zauważonymi. Ale rzeczywiście znalazł się ktoś, kto jeszcze miał odwagę i nie stracił honoru.

Grupa młodych osób podniosła ręce. Były to dzieci w wieku jedenastu-piętnastu lat.

Najstarszym z nich był mój praprapra... dziadek. Mój przodek. - wypowiedział z wahaniem.

Surfer zaśmiał się pod nosem. - Nie wiem, ile pra powinno być, jeśli mój pradziadek mieszkał w średniowieczu... Proszę... Jesteś wolny - rzekł rozplątawszy ostatni supeł lin. Zwolniony z pułapki smok odleciał, zakręcając w powietrzu spirale. Moja siostra i ja zachwycone pomachałyśmy mu na pożegnanie. Po czym zwróciłam wzrok z powrotem na męzczyznę.

- Co było dalej? - spytałam.

- Dalej? A... Rodziny tych dzieci oczywiście zareagowały od razu i próbowały je powstrzymać. Ale było za późno. W końcu została wyznaczona grupa młodych poszukiwaczy przygód; grupa czterech młodzieńców, wśród nich mój przodek, i jedna dziewczka, która bardzo chciała iść - moja przodkini.

Nazajutrz o świcie ruszyli w przybrzeżne lasy sosnowe i szukali. Szli jakiś tydzień albo więcej. Wędrowali i wędrowali. Aż pewnego dnia natrafili na poszlakę w postaci małej trąby powietrznej wiejącej w jednym kierunku. Drużyna postanowiła iść w jej stronę, pod wiatr. Nie było to łatwe. Wir powietrzny, choć niewielki i nieszkodliwy, miał mocny wiatr. Ciągłe spychał ich z drogi i uderzał o drzewa. Nagle, niespodziewanie zniknął, a na jego miejscu pojawił się wichur. Silniejszy, ale dużo korzystniejszy i nareszcie udało im się zbliżyć. Kiedy podeszli bliżej, ujrzeli, tak jak opowiadano małego, niebieskiego gada o białym brzuszku i błoniastych skrzydłach. Dziwili się, że jest tak mały, przecież to on powodował wszystkie katastrofy, które napotykały ich i ich pobratymców.

Stwór ucichł, przestało wiać. Spojrzał na nich, prychnął.

- Cześć, smoczku - przywitała się poszukiwaczka przygód łagodnym głosem.

- Nie jestem małym smoczkiem! - odezwał się.

- Dobrze - zgodziła się. Chłopcy czekali w spokoju i gotowości, dzierżąc w dłoniach mieczyki, na wypadek gdyby smok chciał ich zaatakować, podczas gdy ich towarzysza próbowała z nim rozmawiać.

- Czy to ty wywołujesz ten wiatr i tornada? - spytała. Zwierzę skinęło rogowym łebkiem.

- Dlaczego? - dopytywała.

Smok prychnął z irytacją.

- Naprawdę myślisz, że odpowiem na to pytanie tobie, małej, głupiej dziewczynce, która przychodzi do mnie zupełnie bez strachu?? - burknął.

- Ale przez to, że robisz ten wiatr, ludzie w wiosce cierpią. Drzewa co chwilę zawałają się na ich domy i nie zdążają ich odbudować, ponieważ on ciągle powraca. Nie raz sami pod nimi giną. Naprawdę możesz na to patrzeć? - odparła. - Po co robisz ten wiatr? - powtórzyła.

Wywrócił jaszczurzymi oczami o kolorze morza i ponownie prychnął.

- No dobraa... Wywołuję ten wiatr zupełnie niechcący, wcale nie miałem takiego zamiaru. To skutek uboczny... Ja tylko... próbuję zagwizdać... Ale wychodzi na to, że cały czas tylko mocno dmucham.

Kiedy zobaczyłem, co to robi ludziom, wyniosłem się stąd na trochę i próbowałem gdzie indziej... Niestety tam też załazłem za skórę tamtejszym mieszkańcom, więc wróciłem. Staram się robić to ostrożniej... ale mi nie wychodzi - wyjaśnił stwór. Oboje usłyszeli, jak towarzysze poszukiwaczki przygód nieudolnie powstrzymują śmiech.

- Czego się chichracie?! - ofuknęła ich moja prapra... babcia. Młodzieńcy skulili się pod jej groźnym wzrokiem.

- Przepraszamy... Dlaczego tak bardzo chcesz umieć gwizdać? Tak w ogóle... - zapytał mój prapradziadek.

- Bo mój kolega umie - odpowiedział smok.

Pozostałych trzech chłopców nie wytrzymało i wybuchnęło śmiechem.

- Więc czemu nie odwiedzisz go i nie spytasz, czy by cię nie nauczył? Wiem, może nie chcesz tego robić, bo mógłby cię wyśmiać, ale nie sądzisz, że tak będzie szybciej i łatwiej? Jak tak dalej pójdzie i będziesz powodował wichury, to albo będziesz zmuszony stąd

uciekać albo cię złapią lub zabiją. Chyba że przestaniesz dmuchać - powiedziała moja przodkini. Jaszczur zwiesił głowę i wbił wzrok w ziemię. Westchnął ciężko kilka razy, po czym spojrzał znów na swoją rozmówczynię.

- Wiem o tym... Ech... No dobrze... Odwiedzę go. Dziękuję za pomoc. Do zobaczenia! - rzekł, pożegnał się i odfrunął gdzieś daleko, daleko, na południe. Do Krakowa, gdzie mieszkał niegdyś jego dobry kolega i przyjaciel - Smok Wawelski.

Oczywiście nie zastał go niestety. Biedak musiał zaraz uciekać, ponieważ ludzie już gotowali na niego broń. Prawdą było, iż nasz stary podkrakowski smok umiał gwizdać, jednak w taki sposób ognisty i płonący, że w końcu doigrał się. Smok wietrzny pograżył się w rozpacz za utraconym przyjacielem, już rzadko miewał ochotę na gwizdanie. Wrócił na pomorze i do dziś tuła się po okolicy, tworząc wiatry, od czasu do czasu wichury, lecz, dzięki pamięci o małej dziewczynce i jej trosce o wieśniaków, nie tak mocne jak kiedyś. Powoli mieszkańcy nauczyli się żyć przy jego humorkach, a potem o nim zapomnieli." - zakończył surfer. Ja, moja rodzina oraz sportowcy zebrani w jedną ciasną grupkę wciąż się w niego wpatrywaliśmy, zaszuchani.

- Smutne... - powiedziałyśmy cicho jednym głosem z siostrami. Mężczyzna skinął głową uśmiechając się, a w jego uśmiechu dostrzegłam tęsknotę. Westchnął i wstał podnosząc kolorową płachtę latawca.

- No dobrze, dzieciaki... Robi się coraz chłodniej, powinniście wracać, jak mówią wasi rodzice. My jeszcze się trochę pobawimy. Do zobaczenia – zmierzwił włosy mojej siostrze, po czym ruszył w dół plaży, do zimnego morza, wzburzonego znów silnym wiatrem. Staliśmy chwilę, czekając aż surfer stanie na desce i pomknie po wodzie.

- Do zobaczenia!!! - zawołałyśmy, machając mu z piasku. Kiedy odmachął nam jedną ręką, zwróciliśmy się do wyjścia z plaży i wróciliśmy do domu.

Ta historia była piękna. Bardzo piękna i bardzo, bardzo smutna. I daje nam do myślenia, że nie zawsze powinniśmy zapobiegać nieporozumieniom i konfliktom poprzez walkę, obronę, atakowanie.

Powinniśmy zawsze spróbować porozmawiać, bo być może powód jest tak naprawdę błahy jak to smocze gwizdanie. Kto wie, może nasz wróg zostanie naszym przyjacielem?

Sennah Eteria Skyglow

III miejsce:

Maja Tutakowska

„O baszcie, bluszczu i żabach”

Godło: *Klementynka*

W mieście Łęborku, w Błękitnej Krainie
jest kilka zabytków z których miasto słynie.
Wśród starych murów – ona królowa
- piękna, dostojna Baszta Bluszczowa!
Cegła zendrówka jest jej ozdobą,
Kształt czworoboku, potem ośmiobok,
dach jej szpiczasty z pięknej dachówki,
na czubku ozdoba z miedzianej kulki.
Siedem już wieków zdobi to miasto
i tajemnicę skrywa niejasną,
o bluszczu, który ją niegdyś oplatał...
Zanim więc udasz się na skraj świata,
mój czytelniku, posłuchaj legendy,
która wciąż krąży od wieków średnich.

W mieście niewielkim, lecz urokliwym
życie nie było zbyt uciążliwym.
Miasta mieszkańcom dobrze się żyło.
Wszystko powoli się tu toczyło.
Mieszkańcy byli dla siebie mili,
wzajemne usługi sobie świadczyli:
kował kuł konie, bednarz miał beczki,
garncarz zaś lepił cudne garneczki.
Ziemia dawała plony obfite,
zboża, warzywa, owoce rozmaite.

Konflikty, owszem, też czasem były,
ale Dobrosław władca krainy
mądrym był człkiem i sprawiedliwym,
radzić potrafił mieszkańcom kłótliwym,
dlatego wszyscy go szanowali,
i złego słowa powiedzieć nie dali.

Lębork był grodem pięknym, zadbanym,
lśniły domostwa w słońcu porannym.
Najważniejsza w mieście była jednak baszta,
- ostrzegąca przed złem mieszkańców miasta.
Bluszcz ją oplatał, piękny, zielony,
wił się i zdobił od każdej strony.
Poddani bardzo o niego dbali,
i regularnie go podlewali.
Pięknie ozdabiał basztę wyjątkową,
na co dzień zwaną Basztą Bluszczową.

Życie się toczy, lecz czasem tak bywa
że czas spokoju nieszczęście przerywa...
Tak więc w Lęborku, pewnego rana
pojawiła się klęska niespodziewana.
Od wiosny słońce strasznie prażyło,
niebo mieszkańcom deszczu skąpiło.
Wyschły studzienki, rzeka zmarniała.
W źródłkach tylko nadzieja została.
W chwili zaś nagłej, niespodziewanej

szkodniki przybyły tu prosto z bagien.
Plaga żab miasto opanowała,
wszystkim mieszkańcom żyć nie dawała.
W każdym zakątku tej miejscowości
Można było znaleźć nieproszonych gości.
- Bluszcz tam na baszcie trzeba ratować,
nie wolno tego cudu zmarnować –
Zgodnie orzekli mieszkańcy strapieni,
chcący ratować ostatki zieleni...
Plony zniszczyły żarłoczne żabiska.
Na uratowanie bluszczu nadzieja też przysła.
Chmara żab w końcu w cień murów ruszyła
i z liści basztę ogołociła...
Bluszcz ten objadły aż do korzeni
i pozbawiły basztę zieleni...
Smutek ogarnął w grodzie każdego.
Nie udało się obronić skarbu cennego.

W końcu z pomocą przyszła przyroda
Na gród nadciągnęła olbrzymia woda.
Nadeszła wtedy burza straszliwa,
wiatr z korzeniami drzewa wyrwał.
Ulewa z nieba siekła okropnie,
zalała domostwa, drogi i stopnie.
Pioruny tłukły jak opętane,
mieszkańcy wtedy zamknęli bramę.
Rów wykopali z miasta do rzeki,

z drewna zrobili mocne zasieki.

Zgarnęli płazy z domów, chodników,

nurt wody porwał małych szkodników.

Wszystkie spłynęły wraz z nurtem rzeki

i nie widziano ich całe wieki...

A dla uczczenia historii niezwyklej,

władca Łęborka zdecydował co rychlej,

fontannę z żabkami postawić w mieście

w upamiętniającym zdarzenie geście.

I choć nie odrósł już bluszcz w żadnym roku,

baszta nie straciła swojego uroku.

Nadal zachwyca swoją urodą,

i miasta naszego jest ozdobą.

W blasku księżyca czasem się chowa

piękna i dumna - Baszta Bluszczowa.

wyróżnienie:

Wiktoria Białek

19-15

Legenda o kościele św. Jakuba

Dawno, dawno temu, gdy Lębork był jeszcze małym miasteczkiem otoczonym drewnianymi chatkami, Krzyżacy postanowili wybudować tutaj wielki kościół. Miała być to świątynia poświęcona św. Jakubowi. Mieszkańcy z radością przyjęli tę wiadomość, ponieważ na razie mogli modlić się tylko w drewnianej kapliczce, która nie mieściła wszystkich osób. Jednak budowa kościoła nie była łatwa.

Na początek trzeba było znaleźć dobre miejsce. Po długich poszukiwaniach Krzyżacy wybrali wzgórze w parku Chrobrego, było ono dobrze widoczne i bezpieczne. Mistrz budowlany sprowadzony prosto z Krakowa zaplanował potężne ceglane mury, które miały przetrwać setki lat, ale czy na pewno? Gdy tylko robotnicy położyli pierwsze fundamenty, wydarzyło się coś dziwnego. Nocą ktoś rozwałił kamienie i cegły, a rusztowania przewracały się, jak gdyby ktoś nie chciał dopuścić do budowy. Strażnicy nie mogli znaleźć sprawców, bo nie było żadnych śladów ludzi ani zwierząt.

- To znak że, święty Jakub nie chce kościoła w tym miejscu!-mówili niektórzy.

Przerażeni tymi plotkami robotnicy chcieli wstrzymać budowę świątyni, lecz mistrz budowlany nie chciał się poddawać.

- To nie duchy. To zbóje lub wiatr -mówił.

Postanowił więc sam czuwać przy budowie całą noc. O północy usłyszał czyjeś kroki. Spojrzał w stronę rusztowania i zobaczył tam pewną postać. Był to starszy mężczyzna w białej szacie z laską w ręku.

- Dlaczego co noc burzysz naszą budowlę?- zapytał zaciekawiony Mistrz budowlany.

- Kościół powstanie, lecz nie tutaj- odparł starzec.

- W takim razie gdzie ma powstać?- spojrzał na mężczyznę zdumiony.

- Tam, gdzie rankiem zatrzymają się pierwsi pielgrzymi- powiedział, tajemniczy starzec po czym rozplynął, się w powietrzu.

Mistrz nie spał do rana. Gdy tylko pierwsze promienie oświeciły miasto, zauważył grupę pielgrzymów. Zatrzymali się na skraju rynku blisko miejsca, gdzie dziś stoi kościół. Ludzie uznali to za znak. Budowę przeniesiono, tym razem nic już nie przeszkadzało w stawianiu kaplicy. Świątynia powstała szybko i do dziś stoi w tym samym miejscu.

Niektórzy mówią, że sam święty Jakub odwiedził wtedy budowę. A inni, że była to dusza jednego z dawnych mieszkańców Lęborka, który chciał obronić kościół przed złem. Lecz jedno jest pewne, że świątynia stoi tam, gdzie wyznaczył, i może dlatego przetrwała te wszystkie lata?



Legenda o powstaniu poezji

Wcale nie tak dawno temu, kiedy świat trzymał się zasad narzuconych przez społeczeństwo, a wiele ludzi wykonywało spokojne, lecz nudne prace, żył pewien człowiek, na którego mawiano „Zgreb”. Tak naprawdę miał na imię Jan Konewko. Pracował jako sprzedawca w sklepie zabawkowym „Jaś i Małgosia” na dzisiejszej ulicy Staromiejskiej w Łęborku. Jego powtarzalna praca go nudziła, a wszystkie dostępne książki stawały się przewidywalne. Ale co miał zrobić? Przecież to, czym się zajmował, było dobrze wynagradzane, a każda rzecz im pojęcie odkryte, nieprawda?

Wszystko działo się przyjemnego letniego dnia w lipcu. Jan czytał książkę w trakcie oczekiwania na klientów. Była to jego ulubioną część „Jutrzenki”, w której główna bohaterka miała pokonać smoka. Fabuła nie była nie wiadomo jak skomplikowana, lecz czytanie jej było równe czytaniu czegoś tak dobrego, że aż szkoda było się oderwać. Rozglądał się co chwilę, żeby zobaczyć, czy ktoś nie wchodzi do sklepu, W szklanym okienku można było zobaczyć różnorakie zabawki: lalki, pociągi, rowery. W końcu po paru minutach patrzenia i czytania postanowił wypić herbatę. Herbata, czajnik i woda stały w magazynie przy wejściu, więc Jan już, już miał wstać z krzeselka przy ladzie, kiedy do sklepu przyszedł klient. Był to Pan Marek, który szukał prezentu dla córki - Bogusi.

- Cześć Zgrebie! Co u ciebie słychać? - powiedział na powitanie.

- Witaj ponownie! Nic ciekawego, dzień jak co dzień - odpowiedział przyjacielowi.

- Wiesz, szukam prezentu dla Bogusi. Ma niedługo urodziny i chciałem kupić jej lalkę.

- Możesz popatrzeć na półkach, a ja bym zrobił sobie herbatę, dobrze? O ile to nie problem, oczywiście.

- Pewnie!

Magazyn był jak wielka komnata tajemnic, tylko, że nie taka olbrzymia. Znajdowały się w nim lalki, rowery, kolejki, klocki, a nawet kilka ubrań, czajnik, mały zlewik i pudełko z dziwną herbatą. Cały czas myślał w głowie o tym, co działo się dalej w książce, którą czytał tyle razy, że znał już jej fabułę na pamięć. Złapał dzbanek, zagotował wodę i dał do kubka jedną torebkę. Po zalaniu jej wodą napój stał się wielokolorowy, co trudno było zobaczyć w tym oświetleniu. Jan dodał łyżeczkę cukru i zaczął pić. Stał wygodnie, co chwilę wyglądając za Markiem, czy ten dokonał decyzji. Zgreb zrobił mocny wydech i zamknął na chwilę oczy. Gdy je ponownie otworzył... zobaczył, że znalazł się na plaży w Łebie. Ale coś było nie tak. Wokół niego poruszały się dziwne stworzenia. Niemożliwe jednorożce z długimi nogami, pterodaktyle z zielonymi fryzurami w kolorze różowym lub ogry w tutu i baletnicach. Jan był mocno zdziwiony i myślał, że albo zasnął, albo zemdlał. Ze zdziwieniem oglądał się wokół siebie. Patrzył na te wszystkie dziwne stworzenia, każdemu dokładnie się przyglądając. Niebo było ciemnoniebieskie z prześwitami pomarańczowego, co dawało wygląd dziwny, lecz spokojny. Wokół Zgreba było koło z muszelek, czego wcześniej nie dostrzegł. Spróbował wyjąć rękę spoza koła, a kiedy mu się to udało, to jego dłoń zmieniła kolor na przyjemny fioletowy. Szybko ją zabrał i myślał, co robić dalej. Począł 5 minut, szczypał się w nadgarstek, żeby być pewnym, że to nie był tylko sen. W końcu zdecydował się wyjść z kręgu. Była to decyzja dobrze przemyślana, bo kto wie, co go po tym mogło czekać? Wziął głęboki wdech, jakby poza muszlami nie było tlenu i wystawił powoli nogę, potem drugą i wyszedł cały. Wziął lekki oddech i po upewnieniu się, że może oddychać zaczął się

rozglądać. Zdążył zauważyć u siebie fioletową skórę, antenki na głowie, czteropalczaste ręce i jego ubrania, których kolor stał się intensywniejszy. Wszystko było inne, niż w prawdziwym życiu. W pewnym momencie podeszła do niego dziwna kreatura. Chodziła na dwóch nogach, pomimo tego, że miała ich cztery. Była niebieska o żółtym brzuchu i zielonych oczach.

- Witaj! - powiedziała.

- Cz-cześć...?

- Wiesz, co tu robisz, nieprawdaż?

- Nie mam pojęcia bladego!

- Jesteś w miejscu, gdzie tworzą się przełomowe pomysły, które zrewolucjonizują twoją rasę.

- Ale czego akurat ja szukam?

- Zgaduję, że nudzisz się w życiu.

- No, nie wiem, czy bym...

- Więc musisz znaleźć coś, co będzie twoją inspiracją do stworzenia czegoś nowego. Twojej muzy.

- Tylko, co to może być? Albo kto...?

Rozejrzał się jeszcze raz. Nie znalazł niczego nowego. Koło z muszli, różowy piasek, dziwne stworzenia i oczywiście Bałtyk. Był w kropce. Był w dziwnym miejscu bez znanego mu wyjścia. Jedyne, co mu pozostało, to usiąść z nadzieją, że to jakiś nieśmieszny sen. Tak właśnie zrobił. Patrząc się na błękit morza, powiedział na głos:

- Pamiętam, jak kiedyś siedziałem właśnie tu, tylko nie w tym... świecie...

I czekałem, aż mama pozwoli mi wejść i się kąpać. Morze przypominało mi wtedy... rodzinę, do której szczęśliwy biegłem.

Ze zdziwieniem stwierdził, że porównał nieżyjący obiekt do rodziny. Przecież to nie ma sensu. Po chwili zrozumiał, co tu robił. Miał wynaleźć coś, co nie istnieje w świecie ludzi, w tym świecie bez logiki, który miał pomóc w rozszerzeniu wyobraźni. Wziął spokojny wdech i zaczął powoli układać obce mu zdania. Jego słowa były poplątane, jak nitki, które łączą się w spójne wyrazy. Po chwili zaczął pisać na piasku pierwsze słowa poezji. Pisał o swoich uczuciach i przeszłości. Nagle jego zapiski na różowym płótnie zamieniły się w różową kartkę papieru i pióro. Pełen pasji zapisywał wszystko, aż w końcu utworzył swój pierwszy w życiu wiersz. Był niebywale dziwny, ale Zgreb poczuł dumę.

- Dziękuję! - krzyknął w różową przestrzeń.

Nagle zobaczył, że znowu znajduje się w magazynie sklepu „Jaś i Małgosia” przy nieistniejącej już dzisiaj ulicy Słupskiej w Łęborku.

- Idziesz? - dotarło do niego pytanie Marka.

- Już!

Jan przestał siorbać herbatę, wyszedł za ladę i nabił na kasę cenę lalki z czarnymi włosami, zielonymi oczyma i różową sukienką.

- 25 łez - powiedział spokojnie Zgreb do przyjaciela.

- Słucham?

- 25 łez - powtórzył tym samym tonem sklepikarz.

- Znaczący... złotych? - spytał niepewnie Marek, patrząc podejrzliwie na Jana.

- Łzy są bardziej wartościowe. Łzy są kosztowne.

Marek położył 25 złotych, podziękował i wyszedł ze sklepu bez pożegnania. Jan nadal przyjeżdżał regularnie do Łeby oglądać jego kochaną muzę – Bałtyk.

Od tego momentu dzięki Zgrebowi możemy czytać niesamowite legendy i piękne wiersze. To był przełom dla twórczej wyobraźni nie tylko samego Jana, ale dla wszystkich, którzy odwiedzali sklep z zabawkami przy dawnej ulicy Słupskiej w Lęborku.

Legenda o Borku

Dawno, dawno temu, kiedy ziemie Pomorza pokrywały gęste, mroczne lasy, nad brzegiem rzeki Łeby żył książę o imieniu Bork. Był to władca szanowany przez swój lud, mądry i sprawiedliwy, ale nękany ciągłymi najezdami wrogich plemion. Ciągłe niszczone osady, grabiono dobytek, a ludzie żyli w strachu. Książę wiedział, że coś musi zrobić, by zapewnić swojemu ludowi bezpieczeństwo, ale nie wiedział, od czego zacząć.

Pewnego dnia, zmęczony ciężarem problemów, postanowił wyruszyć na samotną wędrowkę w głąb lasów, by znaleźć rozwiązanie. Wędrując przez ciemne knieje, natrafił na stary dąb, pod którym siedziała tajemnicza, sędziwa kobieta. Wyglądała na ubogą, ale w jej oczach kryła się niezwykła mądrość.

– Dlaczego jesteś taki przygnębiony, książę? – zapytała, jakby знаła jego myśli.

Bork opowiedział jej o swoim trudnym położeniu – o najezdach, zniszczeniach i o tym, jak pragnie zbudować miejsce, gdzie jego lud mógłby żyć w spokoju.

Staruszka uśmiechnęła się lekko i rzekła:

– Wysłuchaj mnie dobrze, bo zdradzę ci tajemnicę. Znajdź miejsce nad rzeką Łebą, gdzie woda płynie najspokojniej, a ziemia jest żyzna. Tam wznies mury miasta. Rzeka będzie waszym sprzymierzeńcem i ochroną.

Książę chciał podziękować i dać jej coś w zamian, ale gdy tylko odwrócił wzrok na moment, staruszka zniknęła. Na jej miejscu pozostał jedynie złoty liść, który połyskiwał w promieniach słońca.

Bork wrócił do swojej osady i opowiedział ludziom o dziwnym spotkaniu. Wkrótce razem wyruszyli na poszukiwanie idealnego miejsca nad rzeką Łebą. Po długich poszukiwaniach znaleźli spokojne zakole rzeki, otoczone żyzną ziemią i lasami pełnymi zwierzyny. Tam właśnie rozpoczęli budowę miasta, które nazwano Lęborkiem – na cześć księcia Borka i rzeki Łeby.

Legenda głosi, że staruszka była leśną wiedźmą, która czuwała nad okolicą. Mówi się, że kto znajdzie złoty liść w lasach wokół Lęborka, zazna w życiu szczęścia i pomyślności.

I tak oto powstało miasto Lębork, które do dziś stoi nad rzeką Łebą, pamiętając o swoich legendarnych początkach.

Lena Dułak

Legenda o ruchomych wydmach

W północnej części Polski, nieopodal Lęborka, w pięknym i malowniczym regionie Słowińskiego Parku Narodowego, znajduje się największy w Europie pas ruchomych wydm. Zachwycają one okolicznych mieszkańców i licznych turystów, o każdej porze roku. Na temat tego niezwykłego i tajemniczego zjawiska przyrodniczego krąży wiele legend i opowieści....

Jedna z legend głosi, że dawno, dawno temu, na terenie Narodowego Parku Słowińskiego istniała tętniąca życiem osada, w której żyli głównie rybacy, rolnicy i rzemieślnicy. Miasteczko to było idealnym miejscem do życia, uchodziło za bardzo spokojne, a jej mieszkańcy byli szczęśliwi, żyjąc w zgodzie z otaczającą ich naturą.

Tradycją w osadzie było urządzenie zabaw dziękczynnych za obfite połowy i plony. Głównym świętem w miasteczku był Letni Jarmark Morski, podczas, którego oddawano hołd przyrodzie, puszczając małe, drewniane statki z darami ziemi do morza. W ten sposób mieszkańcy dziękowali „Matce naturze” za opiekę oraz przychyłność.

Mieszkańcy osady żyli w przeświadczeniu, że już zawsze będą szczęśliwi, a wszystkie zła będą ich omijać. Byli przekonani, że ich sieci zawsze będą pełne ryb, a pola obrodzą w plony. Tutejsze festyny z roku na rok zaczęły skupiać się na zabawie oraz na mocnych trunkach. Powoli zapomniano o tym, by dziękować naturze – bo po co, skoro żyło im się dobrze?

Pewnego słonecznego i bardzo upalnego dnia, kiedy nic nie zwiastowało zbliżającego się nieszczęścia, znad morza zaczął wiać mroźny i przeszywający wiatr. Morze było tak wzburzone, że najstarsi mieszkańcy osady byli przerażeni, ponieważ jeszcze nigdy nie

widzieli takiego sztormu. Dotychczas błękitne morze przybrało barwę nieba, które było prawie czarne. Ze wzburzonych fal Bałtyku wyłoniła się tajemnicza i mroczna postać – duch wiatru, wysłany przez „Matkę Naturę”, której nie spodobał się lekceważący stosunek mieszkańców do przyrody. Duch wiatru postanowił ukarać krnąbrnych osadników. Użył swojej mocy, by przesunąć morski piach w stronę miasteczka. Po chwili potężnej zawieruchy prawie cała osada była przykryta beżowym, piaszczystym puchem. Mieszkańcy z trudem uciekli z gospodarstw, które zostały doszczętnie zniszczone. Szybko zrozumieli swój błąd i przez długie miesiące, z pokorą odkopywali swoje miasteczko z zalegającego piachu...

Legenda ta stała się przestrogą dla przyszłych pokoleń - uczyszacunku i życia w harmonii z przyrodą. Do dzisiaj na łebskich wydmach można spotkać rudego, sprytnego i szybkiego lisa, który odważnie podchodzi do turystów. Mówi się, że to jeden z wysłanników „Matki Natury”, który sprawdza czy ludzie odwiedzający Słowiński Park Narodowy traktują go z należyty szacunkiem...

BAŚŃ O BUKOWINIE

Dawno, dawno temu w malowniczej miejscowości o nazwie Bukowina, otoczonej gęstymi lasami i wzgórzami, ludzie żyli spokojnie, ciesząc się ciepłem domów i blaskiem latarni. W ich krainie prąd płynął jak wolny strumień, rozświetlając noc i ogrzewając mieszkańców w zimowe dni.

Jednak pewnej mroźnej nocy wydarzyło się coś niezwykłego - prąd nagle zniknął.

Latarnie na ulicach zgasły, domy pograżyły się ciemności, a mieszkańcy z niepokojem wyglądali przez okno.

- Co się stało? - pytali samych siebie.

Starzy ludzie szeptali, że może to sprawka wiedźmy, która mieszkała na odludziu i nie lubiła blasku lamp. Młodszy zaś mówili, że to pewnie jakaś usterka, która zostanie szybko naprawiona. Jednak świt nastał, a prądu nie było.

Wtedy najodważniejszy młodzieniec z wioski, Kuba, postanowił wyruszyć na poszukiwanie źródła problemu. Wiedział, że gdzieś w głębi lasu, znajdował się stary młyn, o którym mawiano, że kryje w sobie tajemniczą moc...

Z latarką w dłoni i wiernym psem Burkiem, Kuba wyruszył w drogę. Wędrował przez zaśnieżone ścieżki, aż dotarł do młyna. Drzwi skrzypnęły gdy je uchylił, a w środku ujrzał starca o długiej brodzie.

- Wiem, po co przyszedłeś - powiedział starzec.

- Bukowina straciła światło, bo ludzie zapomnieli, że nie tylko światło daje blask - dodał po chwili starzec.

Kuba nie zrozumiał wypowiedzianych słów, ale starzec podszedł do starego młyna i dotknął go dłonią.

- Prąd, który daje światło wróci, ale mieszkańcy muszą je szanować, Kuba odpowiedział mężczyźnie, że mieszkańcy będą szanować prąd, ale proszą o jego powrót. Starzec skłonił głowę, klasnął w dłonie i zniknął. Kuba wrócił do wioski i opowiedział mieszkańcom swoją historię. Po chwili dodał: „Światło wróciło i nigdy nie zniknie, ale musimy je szanować” i od tamtej pory Bukowina ma światło od przeszło 100 lat, ale mimo upływu lat mieszkańcy nadal pamiętają odważny czyn Kuby. Po dziś dzień wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Jaśmina Konińska

13 15

Błękitna Legenda

Dawno, dawno temu, gdy Lębork skąpany był w blasku księżyca, a uliczki pachniały poranną rosą, w sercu miasta stała niezwykła fontanna. Nie była to zwykła fontanna, lecz tajemnicza budowla z rzezbami żab, które zdawały się szeptać do przechodniów. Legenda głosi, że każdego roku, w noc letniego przesilenia, fontanna budziła się do życia, a jej wody nabierały magicznych właściwości.

W dawnych czasach Lęborkiem rządził surowy, lecz sprawiedliwy burmistrz, który strzegł porządku i dbał o dobro mieszkańców. Jednak miał on jedną słabość – nie znosił żab. Ich rechot doprowadzał go do szaleństwa, a widok tych stworzeń napawał go obrzydzeniem. Pewnej nocy, w przypływie gniewu, rozkazał zamurować wszystkie żaby, które mieszkaly w okolicznych stawach. Ludzie milczeli, nie chcąc sprzeciwić się władcy, ale serca mieli pełne smutku.

Kiedy ostatnia żaba została uwięziona pod brukiem rynku, Lębork zaczął się zmieniać. Powietrze stało się gęste, studnie wysychały, a rolnicy skarżyli się na nieurodzaj. Nikt nie wiedział, dlaczego szczęście opuściło miasto, a burmistrz uparcie nie chciał przyznać się do swojego błędu.

Pewnej nocy, gdy księżyc był w pełni, fontanna zaczęła szemrać. Woda pulsowała niczym serce, a z jej wnętrza dobiegł tajemniczy głos. "Tylko ten, kto doceni to, czego nie znosił, przywróci radość miastu" – szeptały fale. Ludzie zgromadzili się wokół fontanny, a woda zaczęła przybierać kształt ogromnej żaby, której oczy płonęły błękitnym blaskiem.

Burmistrz, choć dumny, zrozumiał swój błąd. Przysięgł, że odtąd będzie chronił każde stworzenie, niezależnie od jego wyglądu czy dźwięku. Następnego dnia woda w fontannie stała się krystalicznie czysta, pola ponownie zazieleniły się, a na rynku pojawiła się nowa rzeźba – kamienna żaba, symbol pokory i zgody z naturą.

Jednak to nie był koniec niezwykłej historii Lęborka. Po tym, jak burmistrz złożył swoją obietnicę, miasto ponownie zaczęło tętnić życiem. Handlarze wrócili na rynek, dzieci znów bawiły się na ulicach, a nocą nad miastem unosiła się delikatna melodia szemrzącej wody. Ludzie zaczęli mówić, że woda z fontanny ma magiczną moc – potrafiła uzdrawiać, przynosić szczęście i spełniać marzenia tych, którzy pili ją z czystym sercem.

Pewnego dnia do Lęborka przybył wędrowiec, tajemniczy człowiek o jasnych oczach i długim płaszczu. Wszedł na rynek, spojrzał na fontannę i zamyślił się głęboko. W milczeniu wyciągnął rękę i zanurzył w wodzie srebrną monetę. Woda zadrżała, a powietrze wypełniło się cichym szeptem.

"Legenda nie jest jeszcze skończona" – powiedział starzec. "Miasto odzyskało równowagę, ale jego serce wciąż jest uśpione. Tylko ten, kto odnajdzie zapomniany ślad przeszłości, obudzi dawną moc."

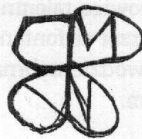
Mieszkańcy spojrzeli po sobie z niepokojem. Czyżby wciąż istniała tajemnica, której nikt nie znał? Starzec uśmiechnął się i wskazał na wschód, ku miejscu, gdzie niegdyś stała stara baszta, jedyna pozostałość po dawnych murach obronnych miasta. Niegdyś pełniła rolę strażnicy, ale teraz stała opuszczona, porośnięta bluszczem i zapomniana przez czas.

Kilku odważnych mieszkańców, kierowanych ciekawością i tajemniczym przesłaniem wędrowca, postanowiło zbadać ruiny baszty. Przekroczyli zardzewiałą bramę i poculi dziwny powiew wiatru, który zdawał się szeptać stare pieśni miasta. Wśród kamieni odnaleźli starą, zapomnianą studnię. Była zasypana i niemal niewidoczna, lecz na jej krawędzi widniał wyryty symbol – identyczny jak ten, który zdobił fontannę z żabami.

Podeszli bliżej i ostrożnie odgruzowali kamienie. Gdy wreszcie odłusnęli wnętrze studni, ich oczom ukazała się lśniąca tafla wody. Woda ta, jak szeptała legenda, miała być źródłem życia dla miasta. To właśnie ona przed wiekami zasiliała fontannę i dawała Lęborkowi dobrobyt. Zapomniana, zapieczętowana przez czas, czekała na moment, by znów ujrzeć światło dzienne.

Gdy tylko pierwsi mieszkańcy zaczęli czerpnąć wodę i ponownie popłynęła ona w miejskich fontannach, Lębork odzyskał swoją dawną świetność. Fontanna z żabami rozświetliła magicznym światłem, a wędrowiec, który przybył do miasta, zniknął bez śladu, jakby jego zadaniem było jedynie przypomnienie ludziom o zapomnianej historii.

Dziś wciąż można odwiedzić ruiny starej baszty i spojrzeć na kamienną studnię, skrytą wśród bluszczu. Ludzie mówią, że jeśli przyłoży się ucho do jej kamiennej krawędzi, można usłyszeć cichy rechot żab i szemranie wody, przypominające o magii, która wciąż krąży w sercu Lęborka.



Legenda o kamieniu czarownic

Dawno, dawno temu w malutkiej wiosce nad jeziorem o nazwie Chocielewko, żyła piękna i młoda dziewczyna o imieniu Ludmiła. Żyła w malutkim domu wraz ze swą babcią Jaśminą. Z prawie wszystkimi mieszkańcami miały one dobre relacje, prócz władcy wioski, pana Rotterra. Uważał on, że obie są czarownicami należy je spalić, lecz mieszkańcy wyrazili sprzeciw. On jednak nie zamierzał się poddawać i wymyślił chytry pomysł.

Pewnego zimowego dnia Ludmiła szła do lasu po drewno do kominka. Kiedy wyszła z domu na jej drodze stanął jej sąsiad, pan Mateusz.

- Witaj Ludmiła! Jak się miewa twoja babcia? – zapytał z ciekawością rumieniąc się przy tym. Od dawna było wiadomo, że pan Mateusz zakochany jest w babci Jaśminie. Codziennie przynosi jej kwiaty oraz zabiera ją na romantyczne spacerzy przy blasku księżyca...

- Bardzo dobrze – odpowiedziała – A pan?

- Ze mną wszystko w porządku, ale nie będę cię zatrzymywać – powiedział i ruszył w stronę targu. Ludmiła natomiast ruszyła dalej. Gdy dotarła na miejsce, ściągnęła z pleców kosz, a z kosza wyciągnęła siekierę i zaczęła rąbać połamane drzewa. Kiedy była tak bardzo zajęta pracą, nie zauważyła, że pan Rotterr spoglądał na nią ze swego dworku, w którym mieszkał z wróżbitką Matyldą. Kiedy on obserwował ją przez okno, ona wróżyła z kart jaka przyszłość czeka Ludmiłę.

- I jak, co widzisz? - zapytał - Czy jest wiedźmą? No powiedz no! - krzyknął z niecierpliwością do wróżbitki.

- Widzę ... że, że... będzie szczęśliwa, ale...

- Ale co? - krzyknął zniecierpliwiony – Co się stanie?!

- Ktoś jej zniszczy życie – odpowiedziała kobieta.

- Ale kto? – zapytał zdziwiony.

- Tego niestety me karty nie pokazują – odpowiedziała ze smutkiem.

- Dobrze, a teraz idź do siebie. – powiedział spokojnym głosem, lecz w jego oczach było widać, że jest zmartwiony.

- Muszę wymyślić jakiś niecny plan, by pozbyć się tej dziewczyny i to jak najszybciej, zanim spróbuje odebrać mi władzę – powiedział w myślach i położył się na łóżko.

Następnego dnia odbywały się coroczne przygotowania do dnia powitania wiosny. Ludmiła i jej babcia wyruszyły nad jezioro, by pozbierać kwiaty na wianek, który w równonoc wiosenną puszcza się na wodę. Usiadły na pomost, a babcia zaczęła opowiadać o swej młodości.

- Wiesz wnusiu... - powiedziała babcia – Kiedyś, gdy byłam w twoim wieku, wioską rządził dziadek pana Rotterra. On sprzeciwiał się naszej tradycji. Wszyscy mieszkańcy w ten wieczór siedzieli w domu. Tylko nie ja.

- A dlaczego? – zapytała zaciekawiona - I dlaczego zakazał tej tradycji?

- Uważał, że to tradycja czarownic. Ja tak nie uważałam. Dlatego poszłam nad jezioro i puściłam swój wianek. I nagle przyszedł pan Rotterr.

- I co się stało?? – zapytała zaciekawiona Ludmiła

- Cóż wnusiu ... stwierdził, że jestem czarownicą. Chciał mnie spalić na stosie. Ale nagle pojawili się ludzie z wiankami i zaczęli protestować. Oni też uważali, że to jest nasza tradycja i należy ją kultywować i dbać o nią.

- To skoro tak uważali, to dlaczego nie poszli z tobą?

- Oj wnusiu... W tamtych czasach było nie do pomyślenia, żeby sprzeciwić się władcy wioski.

- Ale ty się sprzeciwiłaś!

- Byłam bardzo buntowniczą dziewczyną. No, cóż na nas już pora. Chodźmy do domu.

- Ale...

- No chodź. – powiedziała Babcia.

Następnego ranka Ludmiła obudziła się w złym humorze, więc postanowiła się dziś nie denerwować. Poszła do kuchni i zaparzyła sobie miętę. Tymczasem u pana Rotterra poranek wyglądał jak każdy inny. Z samego rana zgodnie z tradycją udał się na krótką przechadzkę po wiosce. Gdy wrócił do domu

w jadalni czekała na niego poranna uczta przygotowana przez Matyldę. Podczas śniadania Rotterr spytał:

- Matyldo, czy przyszłość tej wstrętnej dziewczyny jest taka sama jak była?
- Tak panie. Nic się nie zmieniło – odpowiedziała – Ale czemu ta dziewczyna tak panu przeszkadza? - zapytała.
- Wiele lat temu mój dziadek zginął przez te jej babkę. I teraz ta młoda chce mnie pozbawić władzy.
- Przecież nic panu nie zrobiła – powiedziała wróżbitka – Więc dlaczego chce pan jej zniszczyć życie?
- Czy ty nie widzisz, że z wszystkimi rozmawia, wszystkich zaprasza na kolacje, tylko nie mnie?!
- Może pana nie zaprasza, bo gdy ostatnio pana zaprosiła, pan nie przyszedł...
- Dobrze, ale i tak jest czarownicą – powiedział ze złością w głosie.
- Co takiego?! – nie wytrzymała Matylda – Jaka czarownica?! Przecież to dobra dziewczyna.
- A jak wytłumaczyć to, że jest z rodziny wiedźm?
- To pan sobie wymyślił!
- Skoro tak, to się przekonamy – powiedział zdecydowanym głosem pan Rotterr. W głowie miał już plan. Zwołał wszystkich mieszkańców na targ, by ogłosić nowinę.
- Drodzy mieszkańcy! – zaczął – Ze smutkiem ogłaszam, że naszą tradycję puszczania wianków uważa się za czarodziejski zwyczaj. Dlatego od dziś zakazuję tej tradycji – powiedział. Mieszkańcy nie wiedzieli, co powiedzieć, ale nagle ktoś krzyknął:
- To jak powitamy wiosnę?

Na co pan Rotterr odrzekł:

- Wielką ucztą!

Część mieszkańców się cieszyła, a część była smutna. Ale nic z tym nie mogli zrobić. Ludmiła była wściekła. Nie chciała tracić tej tradycji. Następnego dnia na targu pojawiły się stoły, a w domach przygotowywano potrawy, a dzieci robiły ozdoby. Ludmiła wraz z jej babcią przygotowywały babkę. Wieczorem

wszyscy mieszkańcy zebrali się na targu, by świętować. Wszyscy tańczyli, bawili się i cieszyli. Tylko nie Ludmiła... Całą ucztę była smutna.

- Wnusi, co się dzieje? – zapytała w pewnym momencie babcia.

- Nic, po prostu jestem zmęczona. Pójdę się położyć – powiedziała.

- No dobrze. Tylko proszę Cię nie idź nad jezioro – poprosiła babcia. Ale Ludmiła nie posłuchała babci. Weszła do domu, wzięła swój wianek i ruszyła w stronę jeziora. Gdy tam dotarła usłyszała czyjeś kroki. Odwróciła się i ujrzała pana Rotterra. A z tyłu za nim byli inni mieszkańcy.

- Widzicie! – krzyknął – Jest czarownicą!

- Nie, to nie tak jak pan myśli – powiedziała ze strachem w głosie.

- Cicho, czarownico jedna! – powiedział – Należy ją spalić!. Mieszkańcy hucznie ruszyli w stronę paleniska. Pan Rotterr był uradowany, że jego plan się udał. Kiedy dotarł do ognia, ujrzał Ludmiłę, która żegnała się ze swoją babcią.

- Ej, czarownico chodź tu! – zawołał stanowczym głosem. Ludmiła podeszła do niego. A ten ją pchnął wprost do ogniska.

- Widzicie, tak się kończy, gdy się zadziera z Rotterrem! Powiedział pewnym siebie głosem. Tej całej sytuacji przyglądała się Matylda, która nie uczestniczyła w tej niecodziennej sytuacji z powodu choroby. Usiadła w fotelu i wzięła karty do ręki. Kiedy przepowiedziała przyszłość z kart, odkryła tajemnicę. Ubrała płaszcz, kozaki i ruszyła w stronę targu, gdzie byli jeszcze mieszkańcy i pan Rotterr. Stała na mównicy i zaczęła mówić:

- Moi drodzy, odkryłam coś bardzo ważnego. Ludmiła zbyt szybko straciła życie... a prawdziwą wiedźmą* jest pan Rotterr. To on powinien być być spalony.

- Chyba nie uwierzycie tej babie! – zawołał władca.

- A właśnie, że wierzymy – powiedziała babcia Jaśmina.

- A Ciebie spalimy – wtargnął pan Mateusz.

-- Nie, nie, nie. Nie zrobicie tego. – powiedział pan Rotterr. Ale jego los został policzony... Parę chwil później zginął... Mieszkańcy byli dumni z Matyldy, że otworzyła im oczy. Została wybrana na władczynię wioski.

Na pamiątkę tych wydarzeń Matylda ustanowiła w centralnym miejscu wsi

„kamień czarownic”, który stoi do dziś. Na pierwszy dzień wiosny wymyśliła natomiast, by palić w ogniu lalki ze słomy, aby przegonić złe duchy. I tak w Chocielewku do dziś ludzie witają wiosnę!

*Chocielewko – wieś kaszubska położona w powiecie lęborskim, w gminie Nowa Wieś Lęborska w pradolinie Łeby.

* kamień czarownic – kamień Bismarcka w Chocielewku upamiętniający jego pobyt w tej miejscowości.

TEKLA

„Legenda o złotym sercu ”

W przepięknej, niedużej miejscowości Chocielewko, znajdującej się niedaleko Lęborka, doszło do niezapomnianej katastrofy. Zwierzęta i przyroda wraz z rządzącym w tamtych czasach szlachcicem Pirchem, który posiadał majątek już od 1523 roku, podzielili się na dwa obozy. Najbardziej prawdopodobne opowieści dowodzą, że dzielenie tych dwóch światów trwało przez bardzo długi czas.

Zaczęło się jak w każdy sobotni słoneczny poranek. Szlachcic poszedł na poranny jogging, gdzie spotkał przestraszonego wilka. Zwierzę rzuciło się na niego, a on kopnął w drzewo i wypowiedział zaklęcie: „Zwierzęta i przyroda nie jest nam potrzebna, najważniejsze, aby spokój był na tym świecie, a nie ćwierkające ptaki”. To, co wypowiedział, od razu się stało. Zniknęło wszystko, co mu przeszkadzało. Historia głosi, że Chocielewko właśnie wtedy podzieliło się na dwie części: zachodnią- Chocielewo, w której został człowiek i na wschodnią- Widoradz, gdzie zostały zwierzęta i przyroda. Żadne z nich nie mogło przekroczyć linii frontu. U Pircha panowała ciągle burza ze strzelającymi piorunami, a w drugiej części-świeciło słońce. Szlachcic nie mógł tak dalej żyć beczynnie i wraz ze swoją rodziną w 1658 roku pojechał reprezentować miejscowość podczas hołdu Benedykta i Jerzego Pierchów, który był bardzo ważną postacią. To dzięki niemu wszystko się ułożyło... Zaczęło się od nakłaniania przez niego poddanych do uczęszczania do luterańskiej kaplicy, którą wzniósł.

- Niech każdy, kto jest moim poddanym, przychodzi do tego świętego miejsca. O każdej porze dnia drzwi stoją otworem.-
wygłosił Jerzy.

- Panie, ale my przy takiej pogodzie nie będziemy przychodzić.- odpowiedział zdenerwowany lud.
- Dobrze, to postaram się coś z tym zrobić!- rzekł ze zrozumieniem.

Jak powiedział, tak uczynił. Następnego dnia poszedł w gościnę do szlachcica i poprosił go o napisanie listu z przeprosinami za kopnięcie drzewa i wypowiedzenie zaklecia. Gdy mężczyzna opuścił jego dom, zaczął pisać, że bardzo ich przeprasza, że chciałby zjednoczyć miejscowość Chocielewko.

W piątek po południu, gdy wiewiórka poszła na obiad, zapukała do niej Sowa, która wręczyła jej list. Zwierzątko bardzo się wzruszyło i stwierdziło, że trzeba dawać sobie drugą szansę oraz że każdy może się zmienić. Następnego dnia, gdy szlachcic się obudził, ujrzał przed swoim domem drzewo. Szybko wyszedł i zaczął do samego siebie mówić:

- Jak to możliwe, jak to możliwe?!
- Stwierdził, że dosyć tego złego i postanowiliśmy spróbować jeszcze raz.- rzekło poważnie drzewo, po czym potrząsnęło radośnie gałązkami.
- Ojej, bardzo się cieszę.-powiedział zaskoczony mężczyzna.

Od tamtego czasu Chocielewko zmieniło jeszcze parę razy nazwę, ale bardzo się zjednoczyło. Tak właśnie powstała ta cudowna miejscowość. Dumą jest dla mnie być mieszkanką tej okolicy i posiadać tak cenną historię. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby Pierch nie napisał listu. Może bym teraz nie mogła oglądać pięknych wschodów i zachodów słońca, ani słuchać cudownego ćwierkania ptaków...

LISY Z NIEBA

W środku lasu, w pobliżu miejscowości Popowo, mgłą spowite torfowisko, tak zwane Białe Błoto skrywa podobno tajemnicę. Wieść niesie, że w jego pobliżu można spotkać dwa tajemnicze stworzenia podobne do lisów. Sierść jednego z nich jest czarno-granatowa, poprzetykana gdzieś złoto-białymi kropkami. Jego futro przypomina gwiazdy na nocnym niebie, a jego oczy są czarne jak smoła. Drugi z nich ma błękitną sierść, ale jego łapki, uszka i końcówka ogona są białe jak śnieg. Również jego oczy są białe - tak białe, że wydawać by się mogło iż świecą. Podobno obydwie te stworzenia mają rogi podobne do rogów jelenia, tyle że odpowiednio mniejsze. Mieszkańcy okolic nazywają je niebiańskimi lisami.

Jedną z mieszanek Popowa jest 13-letnia Aurelia. Mieszka ona z przybraną mamą Stefanią w małym domu nieopodal lasu. Pewnego razu macocha Aurelii chciała zrobić na obiad schabowe z ziemniakami i sosem grzybowym. Nie miała jednak grzybów, więc zawołała:

– Aurelia!

Dziewczynka wybiegła ze swojego pokoju i grzecznie zapytała:

– Tak, Pani Stefanio?

– Idź do lasu i nazbieraj grzybów na obiad - odpowiedziała przybrana matka.

– Jakich grzybów mam nazbierać? -zapytała dziewczynka.

– Kurek -wyjaśniła Stefania.

– Okej! -zgodziła się Aurelia.

Wkrótce ubrała buty, wzięła koszyk i wyruszyła na poszukiwania pysznych grzybów. W lesie nazbierała już kilkanaście kurek, gdy nagle zobaczyła dwa zdrowe borowiki szlachetne i powiedziała do siebie:

– Pani Stefania kazała mi zbierać kurki, ale nie będzie zła jak wezmę też te dwa grzyby.

Wzięła borowiki i poszła dalej. Dziewczynka nawet nie zauważyła, że zaszła aż w okolice torfowiska. Słońce przebijało ciepłymi promieniami przez gałęzie drzew okalających Białe Błoto. Aurelia zatrzymała się na chwilę, odetchnęła podziwiając piękno okolicy po czym poszła dalej. Po chwili zobaczyła, że coś przebiega między drzewami. Postanowiła to sprawdzić. Gdy rozchyliła liście rosnących nieopodal paproci ujrzała dwa stworzenia, wyglądające jak te z opowieści. Czyżby były to niebiańskie lisy? Nie przestraszyła się ich. Wręcz przeciwnie, zaciekawiona podeszła do nich powoli, kucnęła przed nimi i wyciągnęła rękę. Dała im kilka nazbieranych grzybów. Poczęstowała je między innymi zebranymi borowikami szlachetnymi. Zerknęła jeszcze jak jedzą, po czym odeszła dalej zbierać kurki na obiad. Już po kilku chwilach miała pełny koszyk, co wydawało się jej dziwne. Wróciła szybko do domu i wręczyła przybranej mamie swoje zbiory a ta zabrała się za przygotowanie sosu do obiadu. Aurelia zjadła przygotowany przez Stefanię obiad, a gdy nadszedł wieczór, zmęczona położyła się spać. Następnego ranka obudziła się wyspana już o 06:30. Od 7:45 zaczynała przecież lekcje. Zjadła śniadanie i umyła zęby, a potem wyruszyła do szkoły. Na języku polskim dostała szóstkę za sprawdzianu z *Balladyny*. Na geografii otrzymała piątkę z kartkówki, a na historii i biologii 6 za aktywność na lekcji. Co to był za dzień! Nigdy w życiu nie złapała tylu dobrych ocen jednego dnia, a jak się później okazało, kolejne dni wyglądały podobnie.

Czy to możliwe, że spotkane przez dziewczynkę Niebiańskie Lisy mogły mieć z tym jakiś związek? Kto może to wiedzieć? Warto

jednak spacerując w okolicy Białego Błota rozglądać się uważnie. Kto wie, co jeszcze kryje się w okolicach tego torfowiska.

Legenda o Białej Krainie i Diabelskim Kamieniu 13-15

W sercu Białej Krainy, gdzie ziemia Łehorska spotyka się z tajemnymi lasami, a mury starego zamku książęcego wciąż szepczą do swoich mieszkańców, rozgrywała się niegdyś historia, której echa słyszysz się do dziś.

Dawno dawno temu w Łehorku, który był najpotężniejszą w regionie, wznosił się mur obronny chroniący przed wszelkimi zagrożeniami, a mieszkańcy mieszkali w zgodzie z naturą, dbając o swoje ziemie i pokruszając lasy i łąki. Wokół rozciągały się lasy, które kryły w sobie tajemnice, i nikt nie odważał się wchodzić. W tych lasach tuż pod Witkowem, spoczywał Diabelski Kamień - ogromny głaz, który był stary jak te same lasy.

Wiedziano, że ten głaz pochodził z samego dna piekła. Przekazywano, że ten głaz został rzucony przez tak samo ogromnego diabła jak ten głaz w stronę Łehorka, który miał zdemolować miasto i zabić wszystkich, którzy tam mieszkali. Władcy się to za czasów potężnych książąt, gdy miasto cieszyło się ogromnym dobrobytem. Diabeł, zadowolony z ludzką pomysłowością, postanowił raz na zawsze zniszczyć miasto i jego ludzi i zalać nieskończoną ciemnością.

Podczas mroźnej nocy w najciemniejszych godzinach, diabeł pojawił się w Łehorku i rzucał tym potężnym kamieniem, który miał zniszczyć ~~wszystkie~~ całe miasto i wszystkie ziemie wokół. Jednak w momencie, gdy miał podnieść głaz i rucić go w kierunku zamku, nagle nieco rośniętło się na niebiesko fioletowo i nierównoważony piorun huknął na całe pomore. Serce to nie było prosto ogromny piorun, lecz magiczna siła, która chroniła Białą Krainę przed niebezpieczeństwami i takimi przed zniszczeniem tajemniczej krainy. Zdał się. Bóg podniósł tę krainę z wielkim podziwem.

Kiedy diabeł ułot światło, i pospieszył kamieniem w ziemię z takim impetem, że ziemia załusnęła się swego. Diabeł w pospieszu wrócił do swej norzy i nigdy więcej się tam nie pojawił, ponieważ wiedział, że to światło zabiło jego ojca, który miał podobne intencje.

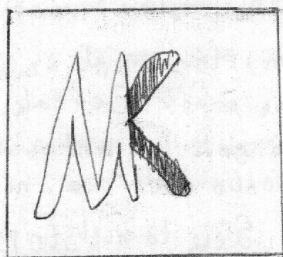
Kamień, którym rzucał został tam aż do tych czasów.

Mówiono, że to koniec historii, ale to nieprawda. Każdej wiosny, gdy ziemia budzi się z zimowego snu z kamienia ustępuje białotna mgła, która chroni wszystkie pobliskie tereny.

Dziś, gdy przechodzi się koło Diabelskiego Kamienia, niekiedy twierdzą, że słychać szeptań kłóczego diabła, który planuje znowu zniszczyć Śelbork. Lecz mieszkańcy się nie boją, bo wiedzą, że kamień ich ochroni.

A na koniec dnia, gdy zapada noc, w Śelborku wciąż rozbrzmiewają echa starych legend. Zamkowe mury, boszki i picia ciążą to strażnicy tych opowieści, które żyją w sercach ludzi. I choć

diabeł dawno odszedł, Białotna Thra na trwałe nieprzerwanie, senząc swego skarbu, którego nie da się zniszczyć - historią, tradycją i legendą, które nigdy nie umrą.



Patrycja Schmidtke

Magia Poraju

W odległej dolinie otoczonej przez majestatyczny las istniała niezwykła miejscowość o nazwie Poraj. Z daleka wyglądała jak wytwór magii. Porajskie domy, ulice i mosty były zbudowane z przezroczystego szkła, które błyszczało w promieniach słońca. Mieszkańcy Poraju żyli w pełnej harmonii z naturą, a ich domy były tak przezroczyste jak tafle lodu, a jednocześnie niezwykle podatne na pęknięcia.

Poraj był miejscem, które przyciągało ludzi z całego świata. Wszyscy, którzy tu przybywali zachwycali się jego urodą i magią, ale nie wszyscy dostrzegali, że życie w takiej miejscowości niosło ze sobą pewne wyzwania.

Mała Maja była dziewczynką, która mieszkała w jednym ze szklanych domów. Maja kochała to miejsce, lecz nie miała przyjaciół, którzy mogliby się z nią bawić. Szklane domy, choć piękne były zimne i surowe, a szklane podłogi łatwo się niszczyły. Maja wiedziała, że każdy krok może zniszczyć coś niezwykłego, dlatego bała się chodzić po swojej miejscowości.

Pewnego dnia podczas zabawy w szklanym ogrodzie, Maja zauważyła na jednym z pobliskich mostów kobietę. Maja ostrożnie podeszła do niej.

- Dlaczego zawsze chodzisz tak ostrożnie? Tutaj nie ma potrzeby się bać - powiedziała kobieta do dziewczynki.

- Tu wszystko jest szklane, coś może się rozbić, a wtedy nie wiem, co się stanie - Maja powiedziała.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Tak. Poraj jest delikatny, ale to nie oznacza, że musisz bać się jego piękna i magii. Właśnie dlatego stworzyliśmy te miejsce, by żyć w zgodzie z tym, co kruche. Poraj uczy nas, mimo że delikatności możemy cieszyć się każdą chwilą, nie bojąc się zniszczeń, bo każda łza, każdy uśmiech, każda chwila życia jest bezcenna, nawet jeśli czasem wydają się, że możemy coś popsuć lub zniszczyć.-powiedziała kobieta.

Maja zrozumiała, że strach przed rozbiciem czegoś nie powinien jej ograniczać. Od tej pory, chociaż nadal uważała na delikatność szklanych przedmiotów zaczęła dostrzegać, że życie w Poraju jest pełne radości i piękna, i że trzeba je cenić.

Morał tej baśni jest taki: życie jest kruche i delikatne, ale to nie oznacza, że należy się go bać. Ważne jest by cieszyć się każdą chwilą dostrzegać piękno w otaczającym nas świecie i nie pozwalać, by nasze lęki ograniczały naszą radość.

Borys Sobieraj

Gniew rzeki Łeby

Tysiąc lat temu żyzne ziemie słowiańskie pokrywały gęste lasy, zaś rzeki i jeziora były pełne ryb. W takim właśnie miejscu na Pomorzu powstała osada nazwana Lewino i należała do książąt Pomorza Gdańskiego. Mówiono też o niej Lwi Gród.

Jej mieszkańcy trudnili się połowem ryb i handlem, bo rwąca i szeroka rzeka wpływała wprost do morza. A pływały po niej liczne łodzie.

Z czasem została owa osada otoczona murami obronnymi i basztami. Wybudowano też spichlerz a także postawiono solidny młyn.

W zamku mieszkał książę Bork, który dbał o swoich poddanych. Jego najbliższym sąsiadem był stary, pracowity młynarz, którego zwano Lem. Ten, chociaż pochodził z ubogiej rodziny, cieszył się szacunkiem całej okolicy. Mówiono między sobą, że posiada niezwykle umiejętności panowania nad naturą i zna się też na magii. Jako wybraniec poznał tajemnice rzeki zwanej Łebą, która miała na dnie piasek koloru białego niczym ten na plażach.

Właśnie Lem był odpowiedzialny za spichlerz, w którym przechowywano ziarna zbóż w workach. Gromadzono też sól którą kupowano w zamian za ryby. Składano tam też inną żywność dla całego grodu. Bo trzeba dodać, że stale przybywało nowych osadników, gdyż żyło się tam naprawdę dobrze.

Pewnej ciemnej nocy, a było to wczesną wiosną, młynarz Lem usłyszał jakieś niepokojące, głuche dźwięki dochodzące ze spichlerza. A że jego dom stał obok, szybko tam dotarł. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach, pomyślał: „Na Boga co tu się dzieje, kto te

worki poprzewracał?” I w tym momencie ujrzał bardzo, ale to bardzo brzydkie skrzaty, które wychodziły z wysypanego zboża. Zaczęły biegać w różne strony i krzyczeć: „Powódź, powódź!”

Lem niewiele myśląc, biegiem udał się nad rzekę, która płynęła tuż obok zamku Borka. Zamoczył głowę w wodzie, potem obmył swe żylaste ciało i coś szeptał jakby do rzeki. Woda na moment stanęła, potem nagle spiętrzyła się i zmieniła swój nurt ,i siłę. Na wodzie pojawiły się fale, a z nich wyłonił się łeb lwa. Wtedy Lem powtarzał półgłosem jakieś zaklęcia, a lew kiwał swoją, wielką grzywą.

Z wieży swego zamku obserwował to zdarzenie książę Bork, z przerażeniem rzekł do swojego giermka: „, Woda wzbiera, spichlerz zagrożony, czeka nas bieda. Powódź!”

Nagle wszystko ucichło, rzeka uspokoiła się, lew zniknął, natomiast na brzegu leżał zemdlony Lem, po którym skakały małe, zielone żabki.

Do dziś mówi się, że w Lęborku wczesną wiosną, gdy noc jest spokojna ,a księżyc jasno świeci, można usłyszeć szum rzeki Łeby i jakieś szepty, które strzegą spichlerza solnego. A lew choć zginął w toni wody, wciąż czuwa nad miastem ukryty gdzieś wśród murów i baszt miejskich. Nazwę utworzono natomiast od imienia młynarza Lema i księcia Borka, stąd Lębork.

O tej legendzie opowiadają dziadkowie swoim wnukom.

Alicja Tutkowska
13-15

Krysztaly Lęborka - tajemnica, która ocaliła miasto

Dawno, dawno temu... a w sumie nie tak dawno temu, ja i moja rodzina przeprowadziliśmy się do Lęborka. Na początku sądziłam, że jest to najgorszy pomysł, jaki tylko dało się wymyślić, lecz po jakimś czasie zrozumiałam piękno miasta.

Zaczynając od początku: mam na imię Rufina i mam 14 lat, mam starszą siostrę Wiesławę, która ma 16 lat i wszyscy z niewiadomych mi powodów mówią na nią "Ruda". Pomimo tego, że żadna z nas nie ma tego koloru włosów, nawet to do niej pasuje. Mamy jeszcze młodszego brata Eliasza, w skrócie Eli. Ma on 10 lat i zawsze jest ze mną mylony przez to, że mam krótkie włosy do ucha. Moi rodzice nie byli zbyt majątni, w domu często brakowało pieniędzy. Nie dziwię się, skoro mieli trójkę dzieci, a oboje pracowali w mało dochodowej firmie stolarskiej.

Przyszła dzień, w którym pierwszy raz zobaczyłam Lębork i piękne wody, które go otaczały. Nie mogę zapomnieć tych cudownych drzew opadających nad wodą. Lazurowa woda płynęła w jednym kierunku, lecz coś tam nie pasowało. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Pamiętam jak dziś, gdy moja mama zaproponowała, abym z młodszym bratem oraz Rudą, która będzie nas pilnowała, udać się nad żabią fontannę. Mój brat tak się tym podekscytował, że nie było już odwrotu. A więc ruszyliśmy. Po drodze spoglądałam na niecodzienną architekturę Lęborka. Byłam w niej wręcz zakochana.

Gdy byliśmy już na miejscu, okazało się, że wody nie było. Fontanna nie działała. Z początku Eli i Ruda myśleli, że to może być awaria, lecz mi coś nie dawało spokoju. Wracając do naszego nowego domu, zwróciłam uwagę na to, że na ulicach było wyjątkowo cicho, jakby miasto było opuszczone. Brak ludzi, brak zwierząt, brak muzyki, brak czegośkolwiek. Moją siostrę to przerażało, ale musiała udawać przed Elim, że wszystko gra. Gdy wróciliśmy już do domu, Ruda opowiedziała wszystko Tacie, a on zakazał nam wychodzić na miasto, "jedynie do szkoły i z powrotem" powiedział. Ani ja, ani Wieśka nie zamierzałyśmy się z nim kłócić, lecz ja miałam inny plan.

Wieczorem, kiedy mój tata zazwyczaj ogląda telewizję, zamierzałam zapytać sąsiadów czy wiedzą, co się dzieje w Lęborku. Wysłam z domu i zamierzałam udać się do najbliższego domu w okolicy, ale gdy zamykałam drzwi, zobaczyłam Angusa, czyli zielone latające postacie kształtem przypominające człowieka. Według legend są bardzo niebezpieczne, więc wołałam się schować. Stwierdziłam, że następnego dnia nie pójdę do szkoły. Pomimo tego, że był to mój pierwszy dzień, wołałam dowiedzieć się, o co chodzi. Wróciłam do łóżka i zasnęłam. Rano zamiast pójść do szkoły zapukałam do drzwi mojej sąsiadki. Otworzyła mi starsza kobieta, która przedstawiła mi się tylko nazwiskiem "Żabińska". Pokazała gestem, abym się schyliła.

- Dzisiaj o 8:30 otworzy się biblioteka, udaj się tam i znajdź książkę o historii kaszub i okolic. Następnie pójdz do siwego Henryka, który mieszka w wieży ciśnień, a on opowie ci resztę. - powiedziała mi tak cicho, że ledwo usłyszałam.

Zamknęłam drzwi, a ja pobiegłam jak najszybciej do biblioteki. Szukałam bardzo długo tej książki. Znalazłam ją i wypożyczyłam jak najszybciej. Wysłam z budynku i zobaczyłam moją siostrę, która poszła na wagary. Stwierdziła, że skoro ja mogę uciekać ze szkoły to ona też. Opowiedziałam jej wszystko i razem ruszyliśmy do wieży ciśnień. Po drodze widziałyśmy dziwne postacie, które

miały na oko pół metra i przypominały większe Angusy. Trochę się ich bałam, lecz Ruda przekonywała mnie, że jako siostry damy radę.

Dotarliśmy tam po około 30 minutach. Ruda z wahaniem zapukała do drzwi domu siwego Henryka. Otworzył nam w kilka sekund, jakby na nas czekał.

- Witajcie, w czym mogę wam pomóc?
 - A więc tak...- zaczęłam od samego początku - ja i Ruda z rodzicami i bratem przeprowadziłyśmy się do Lęborka...
 - Ale ja to wszystko wiem - przerwał mi - Pytam, czego oczekujecie ode mnie.
 - Potrzebujemy pomocy, bo w Lęborku pojawiły się Angusy - odezwała się Ruda.
- Staruszek popatrzył na nas z delikatnym uśmiechem na twarzy i powiedział:

- No i to są konkrety - pokazał palcem w górę i powiedział - Ja jestem za stary, żeby wejść na najwyższe piętro, ale wy jesteście młode.
- Ale po co mamy tam iść? - zapytała Wiesia.
- Tam jest jeden z trzech kryształów. U góry jest kamień prędkości, w fontannie z żabkami - kamień empatii, a w najmniejszym domku we wsi Linia - kamień miłości.
- Dlaczego akurat w Lini? - spytałam.
- Bo dawno temu mieszkała tam młoda para, która bardzo się kochała. Podczas wojny mąż zginął, a żona się załamała, postanowiła podzielić swój kryształ i ukryć go w różnych miejscach Lęborka, a ostatni zatrzymała u siebie. Zdobyłem już prawie wszystkie oprócz tych trzech, dlatego potrzebuję waszej pomocy.

Ruda spojrzała na mnie zdezorientowana i bez słowa ruszyła do schodów, które prowadziły na ostatnie piętro. W tym samym czasie Stary Henryk usiadł na bujanym fotelu przed kominkiem i zaczął czytać książkę, którą mu wręczyłam.

- A ty? - spytał.

Wtedy ruszyłam za Rudą w górę. Schody miały chyba z kilka tysięcy stopni. Gdzieś w połowie chciałam się poddać, lecz Wiesia nie pozwoliła mi się poddać.

Kiedy już weszłyśmy na samą górę, zaczęłyśmy przeszukiwać każdy zakamarek, ponieważ staruszek nie powiedział, gdzie możemy go znaleźć.

- MAM! - krzyknęła Ruda chyba na całą wieżę.

Kryształ miał piękne zdobienia i lśnił na lawendowy kolor, który jest moim ulubionym kolorem. Pobiegłyśmy w dół tak szybko jak nigdy. Nawet nie wiedziałam, że mogę tak szybko biegać. Henryk z zadowoleniem spoglądał raz na mnie, raz na kryształ prędkości i raz na moją siostrę. Ruda stwierdziła, że nie ma czasu do stracenia i pożegnała starca. Ja oczywiście musiałam wyjść z nią. Bardzo ją kocham, ale czasem mam jej dość, zawsze się rządzi, a jest tylko dwa lata ode mnie starsza. Czasami mam ochotę jej powiedzieć, jaka jest, lecz boję się, że się na mnie zdenerwuje, dlatego wolę siedzieć cicho.

- Musimy wyłowić kamień empatii - powiedziała po wyjściu z wieży.
- Chyba kryształ - odpowiedziałam przewracając oczami.
- A tak, tak.

Po długim "spacerze" dotarliśmy do fontanny, a Ruda zaczęła szukać dookoła. Ja pomyślałam, że ten kryształ musi być gdzieś na żabkach. W pewnym momencie znalazłam piękny ciemnozielony kryształ. Ruda patrzyła na mnie z pogardą, że to ja znalazłam kryształ a nie ona. Nie przejmowałam się tym zbytnio, dla mnie najważniejsze było uratowanie miasta. Zaczęłam się zastanawiać, jak dojedziemy po trzeci artefakt, bo ani ja, ani Ruda nie umiemy prowadzić

samochodu, a nasi rodzice nie zgodzą się na dowieszenie nas do Lini. Chciałam się poddać. Miałam dość Rudej i tego, że nie mogę pomóc ludziom. Nie sądziłam, iż będzie to dla mnie takie trudne, aby znaleźć kilka durnych kamieni. A poza tym byłam zmęczona całym tym dziwnym dniem. Wróciłyśmy do domu udając, że po szkole byłyśmy tylko zwiedzić trochę Lęborka. Na szczęście nasi rodzice nam uwierzyli, a nawet dopytywali, jak było i co ciekawego widziałyśmy. Poszłam spać, ale miałam plan na jutro. Gdy rano wstałam, zaczęłam udawać, że strasznie źle się czuję i naprawdę muszę zostać w domu. Wmówiłam mamie, że to wina pochmurnej pogody, która była dzień wcześniej. Moja mama mi uwierzyła, lecz trochę to trwało. Kiedy nareszcie każdy wyszedł z domu, ja zadzwoniłam przez telefon, który wisiał w przedpokoju do sąsiadki Żabińskiej, z którą rozmawiałam wcześniej.

- Halo? Kto tam?

- To ja, Rufina. Pani sąsiadka. Rozmawiałyśmy wczoraj rano.

- Aa, to ty dziecko. Co byś chciała ode mnie? - spytała ze słyszalnym uśmiechem, jakby wiedziała, że mam do niej nietypową prośbę

- Ja... bo ja potrzebuję pomocy - zaczęłam ze strachem w głosie - Potrzebuję podwózki do Lini. Czy ma pani prawo jazdy?

- O tak. No jasne, że cię zawiozę, tylko na 12.00 muszę być z powrotem w domu, bo córka do mnie przyjedzie.

Nigdy wcześniej tak się nie cieszyłam. Spakowałam się w mały plecak i ubrałam moje ulubione zielone bojówki i czarną koszulkę ze słońcem na lewej piersi. Pobiegłam do pani Żabińskiej i energicznie zapukałam do drzwi. Otworzyła mi z kluczykami do auta w rękach. Kazała mi usiąść z przodu i pojechaliśmy do najmniejszego domku w Lini.

- Dojechaliśmy - powiedziała staruszka

- Bardzo pani dziękuję. Zaraz wrócę - odpowiedziałam i pobiegłam zapukać do drzwi.

Szukałam dłuższy czas tego domku. Pani Żabińska po pewnym czasie wskazała mi palcem na domek. Drzwi były małe, z pewnością nie zmieściłabym w tym domu nawet jednej ręki. Otworzył mi młody chłopczyk. Przedstawił mi się i powiedział:

- Cześć, jestem Darek, babcia już na ciebie czeka.

- Ale jak mam tam wejść? - spytałam chłopca.

- Na tym drzewie - wskazał na wysoką jabłoń - rosną magiczne jabłka. Zjesz chodźby gryza i zmniejszysz się na taką wielkość jak moja.

Zerwałam jedno i ugryzłam. Jabłko było soczyste i słodkie. W kończynach poczułam mrowienie, które zaczęło przechodzić coraz dalej i dalej. Po jakimś czasie byłam mała jak ten chłopczyk. Weszłam razem z nim do środka. Korytarz, do którego weszliśmy, był długi. Po lewej stronie były schody na drugie piętro, a po prawej stała brązowa komoda, na której były poukładane zdjęcia. Na końcu korytarza był łuk, który prowadził do salonu. W salonie była czarna skórzana kanapa, na której siedziała kobieta, chyba była to jego babcia. Naprzeciw kanapy stał kominek z telewizorem. Stanęliśmy za kanapą, więc nie wiedziałam do końca, jak wygląda kobieta. Po chwili odezwała się:

- Wiem, po co przyszedłaś. Przyszedłaś po mój kryształ miłości, który przypomina mi o mężu.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć, z jednej strony potrzebowałam tego kryształu, a z drugiej strony to jej jedyna pamiątka po nim. W końcu wydusiłam z siebie:

- Nie chcę pani zranić, po prostu chcę uratować Lębork od dziwnych stworzeń, które zakłócają spokój miasta.

- Możesz go wziąć pod jednym warunkiem - powiedziała z pokerową miną.
- Jaką? Zrobię naprawdę dużo, aby pomóc mieszkańcom.
- Musisz odpowiedzieć mi na jedno pytanie: Kogo kochasz z całego serca? - kąci jej ust podniosły się do góry.

Zaczęłam się zastanawiać, skąd tyle osób wie o moich wewnętrznych problemach, o których nikomu nie mówiłam. Pytanie pomimo tego, że wydaje się proste, dla mnie - wręcz przeciwnie. Jedyna osoba, którą darzyłam tym uczuciem, odeszła bardzo dawno temu i od tamtego momentu mam problem, aby pokazywać miłe i pozytywne uczucia, a zwłaszcza "miłość". Postanowiłam ją przechytryć i odpowiedzieć w sposób oczywisty dla osób w moim wieku:

- Oczywiście, że rodziców, Rudą i Eliego.
- Drogie dziecko, słysząc, że kłamiesz.
- Ależ jak to - brnęłam dalej w kłamstwo.
- Spójrz mi w oczy i powiedz to jeszcze raz - odwróciła głowę w naszą stronę i zdjęła wielkie przeciwsłoneczne okulary - No spójrz.

Gdy popatrzyłam na nią, chciało mi się płakać. To była moja babcia, którą okłamałam, a to ją kocham najmocniej. Miałam tyle pytań: Co ona tu robi? Czemu żyje? Skąd wiedziała, że przyjdę do niej.

- Babciu, ciebie kocham najmocniej. Przepraszam, że cię okłamałam - przytuliłam ją mocno i zaczęłam płakać ze szczęścia. Dała mi czerwonoróżowy kryształ i szklankę mleka.

- Wyjdź na dwór i napij się mleka, wtedy się powiększysz i uratujesz Lębork.

- A co z tobą? Nie zostawię cię tutaj. Czemu nie pójdziesz ze mną? - powiedziała mi łzami w oczach.

- Rufina, bo ja nie żyję od dziewięciu lat, jak się tego napijesz to ten dom zniknie i już nigdy się nie spotkamy.

- Nie dam rady.

- Dasz!!! - przytuliła się do mnie i szepnęła - Dasz radę moja mróweczko.

Wyszłam z domku, napiłam się i powolnym krokiem poszłam do auta pani Żabińskiej. Poprosiłam ją, żeby zawiozła mnie na wieżę ciśnień. Nie wyraziła sprzeciwu. Gdy dojechaliśmy, była już za sześć dwunastą, więc sąsiadka nie mogła na mnie poczekać. To oznaczało powrót na pieszo. Znowu zapukałam do drzwi, ale tym razem nikt mi nie otworzył. Postanowiłam sama wejść do wieży, lecz nikogo tam nie było. Siedziałam tam z dwie godziny, zanim pojawił się pan Henryk. Gdy mnie zobaczył, był szczęśliwy i zaskoczony, z jaką szybkością to zrobiłam. Podeszedł do komody, która stała przy samym wejściu i wyciągnął z niej małe drewniane pudełko. Wyciągnął kluczyk z kieszeni marynarki i otworzył pudełeczko. W pudełku było siedem kolorowych kryształów, każdy z nich miał inny kolor i lśnił piękną barwą. Poprosił mnie, abym dała mu kolejne kryształy i złączył je razem. Nagle całe niebo zaślnęło różnymi kolorami, a z wieży poleciał strumień kwiatów. A ja poczułam to, poczułam miłość. Pokochałam moją rodzinę.

I od tamtego momentu Lębork stał się miejscem pełnym szczęścia i wspomnień. Każda ulica, każdy zakątek miasta tętnił życiem i pomyśleć, że to tylko dzięki temu, że się przeprowadziłam.

